

Marek Tarnowicz
**ROZBITE
IMPERIUM**

BOCCOR



Redakcja: Paulina Nowaczyk
Skład DTP: Joanna Bianga
Okładka wg projektu autora: Robert Zajączkowski

Copyright © 2018 by Marek Tarnowicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki
jest możliwe tylko na podstawie pisemnej zgody autora.

Wydanie I

ISBN 978-83-939211-8-8

ISBN 978-83-939211-8-8



BRAMA FANTAZJI

Dziękuję Panu Bogu za wytrwałość

Dedykuję mojej córce Magdalenie

Piach. Piach, a do tego pałacy bez chwili przerwy żar stojącego w zenicie słońca. Przez powstałą kilkanaście tysięcy lat wcześniej pustynię niemalże już na oślep i ostatkiem sił podążała dwunożna istota. Długi, rozdwojony język wyskakiwał od czasu do czasu pomiędzy łuskowatych warg, jakby badał otoczenie. Stworzenie zostawiało za sobą ślady; nie miało już siły ich zacierać. Szło, czekając na zmierzch. Kiedy zniknęły ostatnie promienie słońca, poczuło się odrobinę lepiej. Oczy trochę odzyskały swoje zdolności. Stwór zaczął widzieć lepiej i dalej. Po jakiejś godzinie wrócił spokojniejszy oddech. Oblizwał suche na wiór wargi. Wiedział podświadomie, że kolejnego takiego dnia nie przeżyje. Do najbliższej studni z wodą było za daleko. Mimo to wykorzystał ciemność i z uporem szedł dalej. W połowie zimnej nocy przystanął na dłuższą chwilę. Potem znowu ruszył przed siebie. Tuż nad ranem położył się jak zawsze na długie minuty i usiłował wchłonąć odrobinę skroplonej pary wodnej, aby zasilić swój organizm. O świcie ruszył przed siebie. Kolejny taki sam dzień zaczął chylić się ku zachodowi. Upał odrobinę osłabł. Stwór zwolnił zaniepokojony, słysząc przed sobą dziwne odgłosy. Nie przypominały co prawda dźwięków pogoni, ale na pewno ktoś nachodził. W końcu przystanął z wahaniem. Było już jednak za późno. Zza wydmy wychodzić zaczęli ludzie i objuczone zwierzęta. Wysocy, ciemnoskórzy mężczyźni nagle zatrzymali się w miejscu zdumieni niesamowitym widokiem. Kilkanaście metrów przed sobą zauważyli dziwne stworzenie, stojące na dwóch nogach. Budową ciała przypominało człowieka, jednak łeb miało węża.

– Co to takiego? – padło pytanie z ust jednego z nich.

Na czoło grupy wyszedł barczysty właściciel karawany. Przez moment również patrzył ze zdumieniem. Jednak jego myśli pominęły pytanie i podążyły dalej. Przed sobą widział szansę na niezły zarobek. To prawda, że nikt mu nie uwierzy, że gad był ubrany w krótką tunikę i nabijaną ćwiekami skórzaną spódnicę, lecz to nie było ważne w tej chwili. W jednym momencie podjął decyzję.

– Łapać go! – krzyknął, chwytając za włócznię wiszącą u boku konia.

Stworzenie od razu zrozumiało jego zamiary. Walcząc ze słabością, rzuciło się do ucieczki. Biegło jednak ciężko, a w końcu padło wycieńczone. Pierwszy dopadł je rosty handlarz.

– *Nie zabijaj mnie* – usłyszał w głowie jakiś głos.

Przystanął zaskoczony.

– Słyszeliście? – zapytał dobiegających do niego kompanów.

– Co? – odpowiedział pytaniem jeden z nich.

– Prosi, żeby go nie zabijać. Nie słyszeliście? Przecież mówi ludzkim językiem. Jest wart fortunę. A jak go sprzedam na arenę, to...

– *Nie sprzedawaj mnie. Uczynię cię królem* – obiecał w głowie głos.

– Słyszeliście... – przerwał, bowiem pozostali patrzyli na niego nieco dziwnie.

– No co? Nic nie... Przecież znów przemówił. Co chcesz zrobić? – Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie usłyszonej myśli.

– *Będziesz królem potężnego państwa, tylko mnie oszczędź* – poprosił ponownie stwór.

– Tak. A potem przyjdzie inny i zetnie mi głowę. Wolę na tobie zarobić. A skoro znasz takie sztuczki, to może kupią cię kapłani ze świątyni – myślał głośno. – Bierzemy go. – Chwycił stworzenie za jedną z rąk pokrytych szorstką i twardą skórą.

Dostrzegł u jego czterech palców groźnie wyglądające pazury. Stwór nie miał innego wyjścia, poddał się jego woli. Mógł co prawda spróbować ich zabić, ale nie miał na to siły. Został przez nich zawleczony do karawany, a tam padł na piach, nie dając rady iść dalej.

– Harak, daj mu wody – wydał polecenie jednemu ze swoich ludzi rosty handlarz.

Sam sięgnął do juków i wyciągnął solidnej grubości rzemień. Spróbował go zerwać, lecz nie dał rady. Tymczasem równie dobrze zbudowany Murzyn odpiął bukłak z wodą. Spojrzał na gada i po chwili wahania zdjął skórzane naczynie, którym poją konie. Nalał do niego trochę ciepławej wody i położył je na piach.

– Pij. Do miasta daleko – powiedział bez przekonania, że ten go zrozumie.

Stwór, zamiast sięgnąć i wziąć pojemnik do rąk, zanurzył w nim jedną z kończyn.

– Amar, patrz na cudaka! – zawołał zaskoczony mężczyzna, patrząc na to, co robi stworzenie.



Tymczasem wody zaczęło wolno ubywać. Płynęła cienkimi jak włos rurkami, zasilając organizm. Jego łuskowate ciało pokryte szarozieloną skórą zmieniło odrobinę kolor. Z niespodziewanie otwartej paszczy wyskoczył nagle rozdwojony na końcu czarny język. Harak odskoczył odruchowo w tył.

– Pieprzona gadzina – uspokoił się, puszczając rękojęść krótkiego miecza, którą pochwycił.

Po chwili podszedł do nich właściciel karawany.

– Jak się napiłeś, to dawaj łapy. – Amar trzymał przed sobą pętlę z rzemienia.

– *Nie wiąż mnie. Pójdę dobrowolnie* – przekazał mu myśl stwór.

– Mowy nie ma. Harak, wyciągnij może jednak ten miecz – wydał polecenie.

Mężczyzna sięgnął do broni.

– *Nie trzeba.* – Gad wyciągnął przed siebie ręce. – *Ruszajcie już* – poprosił.

– Co ci tak spieszno?! Co?!

– *Idzie za mną pogoń. Jeżeli chcecie ujść z życiem...*

– Czyli nie jesteś wybrykiem natury. Jest was więcej. – Kiwnął głową do swoich myśli. – Skąd uciekłeś?

– *W środku pustyni są żyzne tereny. Zamieszkujemy je z dziećmi Horusa.*

– A tamci? Co to za cudaki? – Handlarz przywiązał koniec rzemienia do jednego z juków.

– *Są podobni do was, lecz unikają słonecznego światła.*

– Na razie wystarczy. Resztę opowiesz nam na postojach. Ruszamy – rzucił w tył. – Jak cię zwa?

– *Uks.*

Ciemnoskóry mężczyzna pociągnął za uzdę konia. Karawana kontynuowała powolny marsz. Z początku Amar kilkakrotnie spojrzął w tył na stwora, jakby nie wierzył, że idzie za nimi. W końcu skupił uwagę na drodze. Na dobre nadszedł zmierzch, a tu, na pustyni, ciemno robiło się w kilka minut. Przystanęli na moment.

– Dojdziemy do oazy? – zapytał Harak.

– Pewnie. Jest już blisko. Dajcie tylko pić koniom – polecił właściciel.

Postój trwał krótko.

– Ulss, chcesz pić?

– *Nie. Ruszajmy, proszę. Czuję, że oni są niedaleko.*

– Twoi...

– *Nie. Synowie Horusa.*

– Przecież nie lubią słońca. Tak mówiłeś?

– *Ale słońca już nie ma, a zaraz będzie ciemno.*

– Wiem, że będzie ciemno. Gwiazdy nam wskażą drogę.

– *Ale nie uchronią przed nimi. Tylko ogień.*

– Ruszajmy. Popędzić konie! – rzucił w tył Amar.

Dojście na miejsce trochę zajęło, lecz konie, czując wodę, na ostatnim odcinku same przyspieszyły. Na terenie oazy była już jedna karawana. Ci ludzie podążali w przeciwną stronę.

– Dobrze cię widzieć, Aman – przywitał starego przyjaciela Amar.

– Ciebie też. Jak droga?

– Nie było najgorzej. Co w mieście?

– Zbiory były dobre. Król ma dużo złota. Szuka broni i ludzi zaprawionych w wojaczce. Coś w sam raz dla ciebie.

– Nie, dziękuję. Handel jest lepszy. Chyba że łupy będą w złocie – uśmiechnął się.

– Tego nie wiedzą nawet szpiedzy w mieście. Ha, ha, ha.

– Co racja, to racja. Rozbijemy obóz, to przyjdę i pogadamy. – Klepnął go w ramię.

– Tak. Przyjdź do mnie – zaprosił Aman.

– Przyjdę, przyjdę i coś ci pokażę – obiecał.

Przygotowanie obozowiska nie trwało długo. Rozpalone wcześniej ogniska zapłonęły, oświetlając teren dookoła. Ludzie krzętałi się przy przygotowaniu wieczerzy, więc Amar wziął ze sobą bukłak z winem i gada.

– *Źle robisz* – utyskiwało stworzenie, idąc za nim. – *Raczej powinniście przygotować się do obrony.*

– Nie jęcz.

– *Niedługo się przekonasz.*

– Milcz albo sprzedam cię Amanowi – zagroził. – A on wraca przez pustynię na wschodnie wybrzeże.

– *Jeszcze tej nocy może to nie mieć znaczenia.*

– Co ty, Amar, sam ze sobą gadasz? – zaczął go nagle jeden z ludzi Amana, wychodząc z mroku.

– Nie twoja sprawa...

– A co to za dziwadło? – Mężczyzna stanął zaskoczony.

Ci jednak minęli go bez słowa i po chwili weszli w zasięg światła następnego ogniska. Siedzący przy nim ludzie nagle przerwali rozmowę.

– Nie piję już więcej – rzucił głośno jeden z nich. – Mam zwidy.

– To nie zwidy. To Ulss – wypowiedział imię stwora z tajemniczym uśmiechem Amar.

– Co to jest Ulss? – Aman wstał i podszedł bliżej.

Zaczął oglądać go ze wszystkich stron i dotykać zafascynowany.

– Ale z tym ubraniem przesadziłeś – zaśmiał się.

– Jest jego własnością. On jest myślący i mówi do mnie... tylko inaczej. Słyszę jego słowa w swojej głowie – wyjaśnił. – Weź. – Podał bukłak.

– Nie wierzę. Chcesz pewnie jedynie podbić cenę, spryciarzu. – Kiwnął na niego palcem.

– Byłem pewien, że mi nie uwierzysz. Ale co tam. Ulss, usiądź z tyłu. – Zaczepił sobie ramię do pasa.

Stwór zrobił to, co mu nakazano. Jednak z jakiegoś powodu patrzył niespokojnie na boki i do góry. W tym czasie Amar otrzymał spory skórzany kubek pełen wina.

– *Lepiej nie pij. Zaraz coś się wydarzy* – uprzedził go głośno w głowie.

– Aleś uparty. Co tu...

– *Popatrz na płomienie. Przygasają. To stara sztuczka dzieci Horusa. Będą mogli podejść bliżej.*

– Zdaje ci... Chociaż... – urwał, patrząc na pelgające słabo płomyki.

Poślinił palec i wyciągnął rękę do góry. Wiatr ledwie powiewał, a płomienie zaczęły znikać. Mężczyzna wyłowił też słuchem dziwne odgłosy. W tym momencie konie zaczęły rzeć cicho zaniepokojone. W powietrzu wisiało coś nieuchwytnego, groźnego. Pozostali też najwyraźniej zauważyli nagłe zmiany, bo przestali rozmawiać i nasłuchiwali. Na terenie oazy zaczął królować mrok. Amar pośpiesznie odłożył kubek.

– Harak, przynieś włócznię! – krzyknął głośno. – Coś się dzieje!



W słabym świetle dogasającego ogniska dostrzegł zaskoczoną twarz przyjaciela. Momentalnie wstał i szybkim ruchem sięgnął do pasa po miecz. Zanim zdążył go dobyć, jakiś kształt wyskoczył z ciemności, prosto na kark Amara. Dokładnie w tym samym momencie gdzieś zza pleców Amara trysnął strumień ognia. Dotarł do dogasających drzew i ognisko buchnęło wysokimi płomieniami. Wszyscy poczuli na twarzach żar ognia. Aman nie próżnował. Zaprawiony w licznych starciach dzięki czasom, kiedy jeszcze służył w armii, pochwycił atakującego za jedno z ramion i energicznie pociągnął przed siebie. Intruz, oślepiiony nagłym światłem, zamknął oczy i osłonił twarz drugim ramieniem. Stracił przy tym równowagę, a pociągnięty przeleciał nad głową mężczyzny, wpadając ostatecznie w ognisko. Ulss w tym czasie podobnym sposobem zdążył podsyć ogień w sąsiednim ognisku, rozjaśniając tym samym ciemności silnym światłem. Amar odskoczył przed wyciągniętymi szponami, dobywając w końcu miecz. Napastnik nie ustąpił, toteż ciął go w szyję, przecinając tchawicę i ścięgna. Kopnięciem odrzucił od siebie umierającego i rozejrzał się dookoła. Wokół niego wrzała walka. Ulss, mimo skutych rąk, zrobił unik przed rozwartymi szczękami z długimi zębami. Handlarz skoczył mu na ratunek. Uniesiony miecz opuścił błyskawicznie na kark napastnika. Siła, z jaką to uczynił, sprawiła, że odciął głowę od tułowia. Mocne szarpnięcie zachwiało nim. Odruchowo machnął na boki rękami, aby ustać na nogach. Tuż za jego głową przemknęła para rąk uzbrojonych w mordercze szpony. Jednym ruchem odwiązał od pasa rzemienie. W niewygodnej pozycji zrobił obrót wokół własnej osi i ciął ostrzem na wysokości brzucha. Zaskoczony stwór przypominający człowieka padł na piach z wypadającymi wnętrznościami.

– *Przetnij mi rzemienie* – usłyszał w głowie myśl.

Popatrzył na gada. Podjęcie decyzji trwało jedynie ułamek sekundy. Machnął uzbrojoną ręką, trafiając ostrzem pomiędzy kończyny tamtego. Zrobił to w ostatnim momencie. Z ciemności spadł na Ulssa równie ciemny kształt. Tym razem nie mógł nic zrobić, bowiem musiał zadbać o siebie. Potworny ból na wysokości lewego barku rozdarł mu jaźń. Mimo tego z zaciśniętymi zębami

uderzył łokciem w tył. Nie trafił. Potężny cios w szczękę powalił go na kolana. Wygięty w tył, wypuścił z ręki miecz. Jakaś głowa była tuż nad jego gardłem. Kątem oka zdążył zarejestrować jedynie krótki błysk grotu włóczni ciśniętej przez kogoś w nadal buchających wysoko w górę płomieniach ogniska. Widok głowy zniknął mu sprzed oczu. Teraz widział jedynie drzewce. Złapał za nie i wcisnął głębiej w ciało stwora. Grot przebił go na wylot i utkwiał w piasku. Amar potrząsnął głową. Pomimo potwornego rwania w ramieniu zaczął podciągać się do góry na włóczni. Zanim jednak stanął pewnie na nogach, porażający umysł ryk z czyjegoś gardła omal na powrót nie przygniótł go do ziemi. Nie miał pojęcia, co to było. Po chwili okazało się, że to Ulss zabił w ten sposób dwóch kolejnych przeciwników. Zabójczy wrzask uderzył z niesamowitą i niewytłumaczalną energią w te istoty. Ich ciała eksplodowały na wszystkie strony. Wszyscy zamarli na moment w przerażeniu. Walka była w zasadzie skończona. Aman skoczył z pomocą jednemu ze swoich ludzi. Długim ostrzem sztyletu poderżnął napastnikowi gardło, a dla pewności rozplątał mu jeszcze brzuch. Nagle nastała cisza. Ogień dobrze oświetlał pole bitwy. Wokół leżało kilkadziesiąt trupów. Niestety polegli także ludzie z obu karawan. Jeszcze przez chwilę każdy z ocalałych rozglądał się wokół siebie. Szukając przeciwników, próbowali przeniknąć wzrokiem ciemności pustyni. Nic. Nadal panowała cisza i spokój. Wolno zaczęli odzyskiwać oddech i równowagę.

– *Krwawisz, Amar* – usłyszał myśl Ulssa handlarz.

Zignorował to i sięgnął po swój miecz. Obok leżał jeden z ludzi. Amar odniósł wrażenie, że jeszcze oddycha. Rana i obolałe ciało dawały o sobie znać, jednak postanowił do niego podejść. Mężczyzna oddychał płytko. Na ustach miał spienioną, czerwoną ślinę; gardło było w bardzo kiepskim stanie. Wiedział, że nie może dla niego nic zrobić. Zresztą nawet by nie zdążył. Zanim zakończył oględziny, ciężko ranny zmarł, rżąc. Amar wstał na nogi.

– Idę zobaczyć, co z moimi ludźmi – rzucił krótko.

Aman kiwnął głową. Sam też musiał sprawdzić, ilu z nich przeżyło. Krążyli między leżącymi dłuży czas. Lżej ranni zostali natychmiast opatrzeni. Ponownie usiedli dopiero wtedy, gdy wszystko zostało sprawdzone, a martwi leżeli ułożeni jeden obok drugiego.

– Źle to wygląda. Straciłem pięć osób – mruknął Aman.

– Ja czterech, ale dwóch jest w takim stanie, że chyba nie dożyją do świtu – powiedział cicho Amar. – Co zrobisz? Jedziesz dalej?

– Chyba wrócę do miasta. Muszę najać następnych. Widziałeś te stworzenia? To byli ludzie – dodał po chwili.

– I tak, i nie. Ulss, chodź tu! – zawołał gada.

Stwórz przyszedł.

– Kto to był? Bardzo są podobni do ludzi.

– *To byli Wampiree. Słudzy mojego władcy. Synowie Horusa* – usłyszał w głowie odpowiedź.

Powtórzył przyjacielowi to, co usłyszał.

– Zwróciłeś na pewno uwagę, że byli nieuzbrojeni – stwierdził Aman.

– Właśnie. Ciekawe, dlaczego...

– *Bo nikt im nie daje broni. Są wyjątkowo niebezpieczni.*

– Wasz władca się ich boi – odparł domyślnie.

– *Tak. Dawno temu musiał zniszczyć połowę miasta, aby ich poskromić. Od tamtej pory każdy z nich za posiadanie broni zostaje spalony żywcem.*

– A właśnie... Co to za sztuczka z tym ogniem? Uratowałeś nam życie.

– *To jeden z darów. Drugi...*

– Czyli... To ty tak ryknąłeś – przypomniał sobie ostatnie sekundy walki.

– *Tak. Potrafimy...*

– Dobrze, dobrze. Wiesz co... – zamilkł na chwilę. – Jesteś wolny – powiedział z namysłem. – Chociaż omal nie straciliśmy przez ciebie życia... to jednak ja sam nas w to wpakowałem – przyznał szczerze. – Nie sprzedam cię nikomu. Możesz iść, dokąd chcesz.

– *Dziękuję. A mogę iść z wami? Dla mnie nie ma powrotu.*

– Jasne. Ktoś musi nam pomóc.

– *Dziękuję jeszcze raz. Moja propozycja jest nadal aktualna* – przekazał kolejną myśl.

– Propozycja? – nie miał pojęcia, o co mu chodzi.

– *Mogę uczynić cię królem.*

– Znów to samo. Mowy nie ma. Jeszcze mi życie miłe – zaprotestował.

– *Jestem twoim dłużnikiem i postaram się wypłacić.*

– Nie ma takiej potrzeby... Nie ma – powtórzył z namysłem. – Postawię wartość, Aman. Musimy odpocząć. Jutro... jutro trzeba ich wywlec na pustynię. – Amar wstał od ogniska.

Rano zaczęli do każdego wierzchowca po dwa ciała i powlekli za sobą na pustynię. Po drodze po prostu je porzucili. Nie było sensu robić nic innego. Piach miał się nimi sam opiekować. Taki był wśród nich obyczaj.

Inne pozycje autora:

